



Stefanja Terwiesowa

KSIAZKI BŁĘKITNE
BIBLIOT. DLA MŁODZIEŻY



RYCERZ HUNO
i PIĘKNA JNGA

KSIĄŻKI RÓŻOWE — KSIĄŻKI BŁĘKITNE

*biblioteka ilustrowana dla dzieci i młodzieży
wychodzi co tydzień*

*Wydawczyni i Reaktorka: Jolanta Remiguszowa Kwiatkowska
Kierowniczką literacką: Stefania Jerwiczowa*

*Zakłady Graficzne
„POLSKA ZBROJNA“*

RYCERZ HUNO I PIĘKNA INGA

Treść zdo bi ła S. Czen z ó w n a

O k ł a a k ę r u s o w a i K a m i i M a c k i e w i o z

447026

Bibl. Publ. m. st. W-wy 1938/39

Q 25

p. Kempotowski

3059

STEFANJA JERWICZOWA

P_m

RYCERZ HUNO

I PIĘKNA INGA

BIBLIOTEKA KSIĄŻEK BŁĘKITNYCH

E WENDE I S-KA, WARSZAWA

[1927]



1373 D/P.



MKD 1373

1207

ul. Koszykowa 26/28



BPW00523812

I

Koło roku pańskiego 1180 mieszkał w Danji na wyspie Falster możny lennik królewski z jedną córką, osiemnastoletnią Inga.

Jak kwiat piękną była Inga i słońcem domu swego ojca, w którym, niestety, brak było ciepłych rządów kochającej żony i matki.

Opiekunką dziewczyny była stara babka. Gdy Inga miała osiem lat, przywiózł ojciec z jednej swojej podróży małego chłopca. Zwał się on Kai i był synem Jespera Petersena, który za to, iż chciał na Rugji wprowadzić chrześcijaństwo, zginął męczeńską śmiercią.

Kai wychowywał się razem z Ingą. Od rana do wieczora były dzieci razem, i chłopiec spełniał życzenia Ingi. Jak na ówczesne czasy, dzieci otrzymały staranne wychowanie i były bardzo biegłe w czytaniu i innych wiadomościach.

Gdy Inga wyrosła na śliczną dziewczynę, a Kai

na dzielnego młodzieńca, kochali się niezmiennie, jak brat z siostrą, i żadna niezgoda nie zmąciła ich przyjaźni. Jak dawniej rozlegało się ciągle:

— Ach, Kai, zerwij mi te owoce!...

Albo:

— Musisz mi z miasta przywieźć to i to, drogi Kai...

Albo jeszcze:

— Jutro pojedziemy łódką — dobrze Kai?

Nigdy z żadną prośbą lub życzeniem nie zwracała się Inga do innych pisarzy ojca, ani do rycerzy, którzy, goszcząc często w ich domu, bardzo byliby radzi oddać przysługę pięknej dziewczynie... Dla Ingi istniał tylko Kai.

Ta nierozzerwalna przyjaźń naprowadziła ojca Ingi na myśl, że pewnie młodzi zechcą połączyć się węzłem małżeńskim, a ponieważ Kai był ubogi i zbyt skromne stanowisko zajmował, by mógł zostać mężem jego pięknej i bogatej córki, wezwał ją lennik kiedyś do siebie i rzekł:

— Słoneczko moje, Ingo kochana, skończyłaś lat osiemnaście. Czas, byś pomyślała o zamążpójściu. Niejeden rycerz już mnie o twoją rękę prosił.

— Słyszałam już o tem także, ojcze, ale... — zaczęła sploniona dziewczyna.

Nie dał jej dokończyć ojciec:

— Właśnie wczoraj rycerz Olaf przysłał do

mnie gońca z pismem, w którym o zaszczyt zostania mym zięciem prosi.

— Och, ojczu, ja nie chcę. Chcę być tylko przy tobie, nie cierpię tych wszystkich rycerzy, oni tacy dzicy, okrutni, żadnego z nich mym mężem nazwać nie pragnę.

— A znasz takiego, który ci się wydaje odpowiedniejszym? — spytał lennik, badawczem ją mierząc spojrzeniem.

Ale nie zmieszała się, oczu nie spuściła i odparła spokojnie:

— Nie wiem nawet, co ci odpowiedzieć? Chyba nikogo, ojczu! Bo kogoż ja znam? Ty, Kai, stary Ole, ojciec duchowny — oto ci, których cenię i bardzo kocham. Ale innych mężczyzn wcale nie znam.

Uspokoił się lennik i pogładził bujne włosy Ingi.

— Dobrze, córeczko, poczekamy tedy na pięknego i dzielnego rycerza, który zjawi się w złotym hełmie i z mieczem w ręku, by mi mój skarb zrabować — rzekł z uśmiechem, odchodząc.

Inga w zadumie wyszła do ogrodu. Siadła pod kwitnącem, wiśniowem drzewem, oparła głowę o pień i zapatrzyła się na białe przepych kwiecia, które, kołysane lekkim wiatrem, prószło śniegiem i ścieliło się do jej stóp.

Daleko, daleko poniosły ją marzenia. Marzył

jej się ten rycerz w złotym hełmie, o którym mówił ojciec, marzyły podróże po obcych krajach na wielożaglowych okrętach.

Zaczęła śpiewać.

Słodkie jej pienia zadźwięczały, jak srebrne dzwonki, i niejeden kmiotek stawał w zachwycie u parkanu dworka słuchając: „anielskiego głosu dziewicy Ingi“, jak mówiono zawsze, gdy w niedzielę jej śpiew w kościele rozbrzmiewał.

Ale dzisiaj, oprócz przechodzących wieśniaków, był jeszcze ktoś, kto stał na drodze zasłuchany w ten cudny głos. Wysoki, w błękitnym stroju, w połyskującej zbroi, zdjął lśniący hełm z głowy i pod ciemną, bujną czupryną w zachwycie zastygły jego wielkie, czarne oczy.

Zgasł śpiew. Rycerz drgnął. Nie wiedział jeszcze, czy nie śnił tylko... Ocknąwszy się, zaaprażył zobaczyć tę, która tak śpiewała, jakby nadprzyrodzona moc w jej pieśni była.

Zbliżył się do ogrodu i próbował doń zaglądnąć, ale gąszcz drzew ukrywał wszystko. Nie namyślając się długo, przesadził rycerz jednym susem parkan, przedarł się przez zbite, iglaste krzaki i nagle ujrzał usiane białymi kwiatami drzewo, a pod niem postać kobiecą, tak piękną, iż zdawało mu się, że dalej śni. Złote fale włosów, lekko związane niebieską wstążką, spływały po



białej z miękkiej wełny sukni, obramowanej, lazuruwą, lśniąca materją. Na szyi dziewczyny wisiał na grubym łańcuchu wielki, srebrny krzyż. Oczy jasne, czyste, jak toń nieba, zapatrzyły się w dal, nie wiedziała wcale, że ktoś obok niej stoi.

Nagle, w podskokach, wypadł z gęstwiny drzew czarny, wielki pies i łasić się do niej począł.

Inga zerwała się zdziwiona i wtedy dopiero spostrzegła rycerza. Teraz z kolei ona myślała, że śni. Wszak to właśnie był ten rycerz w złotym hełmie i pancerzu, ten sam błękitny rycerz, o którym marzyła...

Rycerz niskim powitał ją ukłonem.

— Nigdy jeszcze piękniejszy śpiew nie dźwięczał w uszach moich i nigdy jeszcze widok piękniejszej dziewczyny oczu moich nie poił. Kim jesteś, dziewico niezrównanej urody?

— Nazywam się Inga, i zakonnice w klasztorze uczyły mnie śpiewać.

— Inga? O, jak piękny był śpiew wasz, dziewczyno Ingo. Gdyby choć raz takie pienia rozbrzmiały w ciemnych komnatach mego zamku, ukrytego wśród skał, posiadałbym na zawsze siłę i męstwo do moich ciężkich wypraw morskich.

— Czy rycerz nie zechce zaszczyścić naszego domu swoją obecnością i ojca mego, lennika królewskiego, poznać? — spytała Inga, oprzytomnia-

wszy i przypominając sobie o obyczaju gościnności, w ich rodzinie przyjętym.

— Lennika? Tedy lennikiem królewskim jest wasz ojciec? Dobrze, iż śpiew wasz słyszałem, piękna Ingo. Zdołam jeszcze nieszczęściu zapobiec...

— Co mówicie, rycerzu?

— O nic. Ale dajcie mi jeszcze raz usłyszeć cudny głos wasz, widzi mi się, iż lepszym się staje człowiek, gdy mu te dźwięki serce rozgrzewają.

— Chętnie waszej prośbie uczynię zadość, lecz przedtem musicie powitalny puhar z rąk ojca mego przyjąć. Taki już u nas stary obyczaj — odparła ze słodkim uśmiechem.

I skłoniwszy mu się lekko i zwinnie, wbiegła po schodkach do domu, by ojca o przybyciu gościa uprzedzić. A za nią, radośnie machając ogonem, popędził czarny pies rycerza.

Sam rycerz postąpił tylko parę kroków w stronę domu, lecz nagle szybko zawrócił. Zbliżył się do parkanu i zagwizdał. W tejże chwili wyskoczył z zarośli od stóp do głowy uzbrojony czarno ubrany człowiek.

Rycerz szepnął mu kilka słów, pachołek ze zdumieniem cofnął się o krok w tył i ponuro patrzył na pana swego.



A, gdy rycerz już zawrócił ku domowi, śledził go wzrokiem, w którym malowała się złość.

— Ot, zupełnie coś nowego, ładnie się zaczyna wyprawa — mruknął — nie podoba mi się ten wicher, co w nasze żagle zawiał, ale poczekać trzeba.

Okrył się aż po głowę olbrzymią niedźwiedzią skórą, którą miał powieszoną przez ramię i poszedł ścieżką, wiodącą nad brzeg morski, i, wsiadłszy do małej łódki, powiosłował prędko ku kołyszącemu się na wodzie wielkiemu okrętowi.

II

— Rad was witam w domu moim, błękitny rycerzu! — rzekł uprzejmie lennik, uderzając srebrnym kielichem, pełnym pieniacego się wina, o kielich gościa — szczerem podejmuję was sercem. Daleko my tu mieszkamy i każda wieść ze świata jest mi drogą. Cóż słyhać w rycerskich zastępach? Nie stałoż się nic na dworze mego pana?

Rycerz zawahał się:

— Hm, na królewskim dworze nie często bywam, najszcześniejszym się czuję na okręcie z moimi Wickingami*) i sędzę, iż w ten sposób nieźle krajowi służę.

*) Wickingowie, pogańscy Duńczycy (zwani przez Franków także Normanami) urządzali korsarskie wyprawy, niepokoili wszystkie morza i byli postrachem

— Nie tylko nieźle, a wielką ojczyźnie oddacie przysługę, broniąc jej przed napastnikami. Żyjemy obecnie w wiecznym strachu przed rozbójnikami morskimi, plądrują oni tak śmiało wszystkie nadbrzeżne osady, że stali się wprost plagą naszego kraju. Nawet my tutaj, w naszym cichym Falsterze, pewni nie jesteśmy, czy któregoś dnia nie zawitają do nas, a wtedy — niechaj Bóg ześle swe miłosierdzie na nasze kobiety, dzieci i kościoły, bo za ich życie my, mężczyźni, życia nasze położymy.

— Bóg nie dopuści do tego, ojcze — rzekła ciepło Inga — teraz, gdy cały kraj stał się chrześcijański, usatkują się też serca tych napastników i nadejdą lepsze czasy, wszak prawda, rycerzu?

— Sądzę, iż słusznie mówicie, dziewico Ingo, lecz dużo jeszcze wody z rzek do morza popłynie, nim dumny Wicking zegnije karku przed mnisim habitem. Mnie zda się, że uśmiech kobiety, miódowa jej mowa i śpiew słowiczy łacniej nawrócić tych pogan potrafi, niż miecz i przymus. Czy

nadbrzeżnych państw chrześcijańskich. W IX, X i XI stuleciu część Wickingów przyjęła chrześcijaństwo, zaprzestała rozbojów morskich i krwawe walki staczała z byłymi kamratami w obronie napastowanych mieszkańców.

słusznie mi to się zdaje, dziewico Ingo? A teraz spełnijcie dane przyrzeczenie, zaśpiewajcie mi coś... piosenkę jakąś rycerską, co do mojego twardego serca trafić zdoła.

Radośnie uśmiechnięta Inga przyniosła swą lutnię i zaśpiewała piosenkę o rycerzu Rolfie, którego usidlili złote włosy Estridy.

Rycerz słuchał. Po zdjęciu ciężkiego pancerza w błękitno-granatowym jedwabnym stroju wyglądał jeszcze pięknie.

Siedział zasłuchany z głową, złożoną na ręce, wspartej o kolano, drugą zaś gładził czarną sierść swego psa Rolfa.

Ale oczy jego ciemne, głębokie nie schodziły ani na chwilę z twarzy Ingi, która białoróżowa i radosna, śpiewała pieśń za pieśnią, nie zastanawiając się wcale nad tem, kim jest nieznajomy i po co się na wyspie zjawil, czuła bowiem tylko jedno, że jest on tym rycerzem, na którego czekała, którego pokochać pragnie i pójść z nim w życie.

A w kuchni dworu gotowano i pieczono, babka szykowała najprzedniejsze potrawy, stary Ole z żoną i ojciec duchowny zostali zaproszeni na wieczerzę, przy której biedny Kai Petersen był szafarzem. Bardzo mu drżały ręce, gdy w kielichy złoty płyn rozlewał, widział bowiem, że Inga, jego

Inga, towarzyszka i przyjaciółka nierozłączna, nie wkoło siebie nie widzi, a tylko w twarz rycerza patrzy, a uśmiech ma, jak poranek, i cała, jak róża, krasnieje, zasluchana w gorącą jego mowę, od której taje jej serce.

A gdy wieczór nadszedł, znowu Inga śpiewała. Siedzieli w ogrodzie, i księżyc przyświecał tym ludziom, wśród których dwoje było najszczęśliwszych na świecie.

Nazajutrz rycerz nie wspomniął ani słowa o odjeździe. Poranek zeszedł na śpiewie, owocobranii, igraszkach, a po południu poszła Inga z ojcem i rycerzem nad brzeg morski i oprowadziła gościa po całej zamieszkałej części wysepki.

Tu lennik dowiedział się, iż rycerz ma wielki zamek, do którego przylegają rozległe włości na północnej stronie wyspy Moen. Uradowało go to, bo w duszy już uznał, że gdyby ten człowiek zapragnął jego córki, chętnieby mu dał Inge za żonę.

III

Trzy dni pozostał nieznajomy w gościnie, i gdy nastąpiła godzina pożegnania, czuli wszyscy, że jeszcze coś musi być powiedziane.

I, rzeczywiście, błękitny rycerz ujął rękę Ingi i ozwał się drżącym głosem:

— Czy zechcecie, Ingo, poczekać na mnie, aż powrócę z tej wyprawy, od której, niestety, uchylić się nie mogę, bo słowem jestem związany. Piękna Ingo, nikt dotychczas jeszcze miłości w mem sercu nie wzbudził, i przysięgam, że prócz was żadna nie będzie panią na moim zamku i żadna panią nademną. Lecz to stać się może dopiero, gdy powrócę. A jeśli żyw zostanę, to wkrótce wrócę. Na wiarę moją i na honor klnę się, że przyjdę i zabiorę was, o ile ojciec wasz dać mi swą córkę zechce.

— Bóg mi świadkiem, iż nie znam nikogo, kto by mi był miłszym mężem dla mojej Ingi, niż wy,

blekitny rycerzu. Niechaj wam się szczęści w waszej wyprawie, potem wracajcie po córkę moją.

Inga milczała, lecz niespodziewanie wsparła głowę na ramieniu rycerza i zaszlochała głośno. Rycerz drgnął i wyraz niepokoju zjawiał się na jego twarzy. Ujął delikatnie głowę Ingi, spojrzał jej głęboko w lśniące od łez oczy. Przez chwilę toczył ze sobą wewnętrzną walkę, nagle zawołał głośno:

— Ingo! Ingo! Nigdy ja nie powrócę! Wiem teraz napewno, iż kocham cię ponad wszystko na świecie i nie mogę cię dłużej oszukiwać. Jestem poganinem, Ingo, i rozbójnikiem Wickingiem, wierzę w Swantewita i nigdy nie ugnę kolan przed mnichem lub księdzem. Nie wart ciebie jestem, chociaż czuję, iż już pod czarem twoim się zmieniłem. Przybyłem tu, by was obrabować, trzy moje okręty stały opodal na morzu. Wybrałem się z jednym pachołkiem łodzią na brzeg, by się rozejrzeć po okolicy. I na drodze usłyszałem śpiew twój i zatraciłem siebie...

Urwał na chwilę. Inga, biała jak śnieg, patrzyła mu prosto w oczy. Odgarnął włosy z czoła i, zaczerpnąwszy oddechu, mówił dalej zdławionym głosem:

— Odesłałem pachołka, kazałem okrętom powrócić na moją wyspę i tam na mnie czekać. A teraz jadę na wyprawę zbójcką. Jadę rabo-



1343 D/p
wać, palić, rżnąć, bo tego żądają moi ludzie, ta dzika horda z wyspy Moen, która dotychczas mi służyła, a teraz mnie nie puszcza i trzyma w swej władzy. Wiem, Ingo, że byłbym lepszym człowiekiem, gdybyś chciała moją zostać, ale i to wiem także, że nigdy, nigdy to wielkie szczęście nie stanie się moim udziałem...

Objął ją, ramieniem do piersi przycisnął i potem bez słowa zawrócił i pobiegł ścieżką, wiodącą ku morzu.

Lennik stał, jak skamieniały.

Inga, wyciągnawszy ramiona, zawołała rozpacznie:

— Zostań, zostań, ja chcę iść z tobą, ja chcę...
— i zemdlona osunęła się na ręce ojca.

Lennik krzyknął z przerażenia, i natychmiast zjawiał się Kai, który ukryty za drzewami słyszał całą rozmowę. Zaniósł Ingę do domu i złożył na łóżku. Dziewczyna leżała biała i martwa. Kai podsunął jej poduszki pod głowę i pokropił skronie miętową wodą.

— Ingo, mała Ingo, — szeptał, — tak bardzo cię skrzywdzono, czemu cię tak skrzywdzono, mała Ingo moja?

Lennik stał z ponurem obliczem, wsparty o stół. Nagle krzyknął:

— Pogoń za nim wysłać! złapać! uwięzić!

Urwał, gdyż zobaczył, że Inga przerażonemi oczyma nań patrzy i błagalnie wyciąga dłonie.

— Nie! niechaj ucieka — rzekł szybko. — Dla ciebie, Ingo, to zrobię. Gdy odpłynię, doniosę o wszystkim królowi Waldemarowi... Nie, i tego nie uczynię, dla ciebie, Ingo, nie uczynię!...

Przystąpił do niej:

— Dziecino droga! — mówił już spokojnie, tułąc ją do siebie — nie rozpaczaj tak strasznie. Staraj się nie myśleć więcej o nim. To rozbójnik, poganin. Musisz o nim zapomnieć, nie wart, byś dla niego nawet jedną łzę uрониła.

Lecz nie jedna łza, ale całe potoki łez płynęły po zmartwiałej twarzy Ingi.

— Zapomnieć go mam?... Zapomnieć... dobrze, postaram się nie myśleć o nim i o wszystkim zapomnieć...

Ukryła twarz w poduszki i zaszlochała gwałtownie.

— Dzielna jest moja córka, wiedziałem o tem, wszystko będzie dobrze. I niechaj nigdy nikt nie dowie się, kim był nasz gość, prawda Ingo? Prawda, Kai?

— Przysięgam, iż nikomu nie powiem — rzekł uroczyście Kai, kładąc rękę na piersi.

— Nikt się nie dowie, kim był błękitny rycerz, przysięgam... — szepnęła Inga blademi ustami i odwróciła głowę do ściany.

IV

Ciężkie były następne tygodnie dla lennika.

Gdy spoglądał na swą córkę, widział ciągle jednakowo bladą twarzyczkę i czerwone zapłakane oczy. Kai był tak mizerny i smutny, jakby mu już śmierć w oczy zaglądała, a stara babka chodziła z głową, bezradnie na piersi zwieszoną.

Nie wiedział lennik, co czynić, by trochę wesołości wnieść do domu. I nie bez ulgi odetchnął, gdy otrzymał od króla wezwanie, by natychmiast się stawił do Roeskilde*) w ważnej sprawie.

Pierwszych parę dni po odjeździe ojca spędziła Inga nad morzem, zapatrzona w piaszczyste wybrzeże wyspy Moen, która południowo-wschodnią stroną graniczyła z Falsterem.

*) Roeskilde, miasto na duńskiej wyspie Zelandji, do roku 1443 było stolicą królów duńskich.

Wtem w usposobieniu jej zaszła nieoczekiwana zmiana, wzięła się do zwykłych zajęć, i babka odetchnęła swobodniej, sądząc, iż znowu szczęśliwe dni beztroski powróciły.

Lecz spokój Ingi był pozorny, gdyż w duszy jej dojrzewał jeden zamiar i z każdym dniem stawał się bardziej niezłomnym: postanowiła wybrać się na wyspę Moen i, choć wiedziała, że rycerza tam nie zastanie, pragnęła przynajmniej zobaczyć jego zamek.

— A potem, gdy on z wyprawy na zamek przybędzie — szepnęła do siebie — pójdę do niego i może mi się uda go nawrócić, może potrafię otworzyć mu oczy na okrucieństwa poganizmu, i wtedy będę mogła zostać jego żoną. Bo nigdy nie zapomnę jego oczu czarnych, jego uśmiechu, nigdy, nigdy nie przestanę go kochać...

Wiedziała, że w wykonaniu tego jej planu, tylko Kai może jej pomóc. Tedy, jednego dnia zawołała go do ogródka na tę samą ławkę, na której, jako dzieci, tak często siadywali i tu, wyznając mu swój zamiar, prosiła, aby jej towarzyszył.

Kai słuchał jej słów z wyrazem męki na twarzy. Ale, gdy skończyła, rzekł:

— Spełnię twoje życzenie, Ingo, nigdy cię nie zawiedzie zaufanie we mnie pokładane. Dziękuję ci, żeś mnie zechciała uczynić swym powiernikiem

i nie puściłaś się sama w tę tak niebezpieczną drogę.

Pamiętając o tem, iż muszą przed babką upozorować tę wycieczkę, naradzali się jeszcze nad tem przez chwilę. Wtedy Inga przypomniała sobie, że na południowym brzegu wyspy Moen ma małą chrześniaczkę i poprosiła staruszkę, aby zezwoliła jej nazajutrz odwiedzić dziecko.

Babka, rada, iż dziewczynę coś zajmować zaczyna, chętnie na to przystała, żądając jeno, aby Kai jej towarzyszył, bo podówczas zdarzały się tak często napady i rabunki, że kobiety nie odważały się przejść dziesięciu kroków po gościńcu bez zbrojnej opieki.

Inga przygotowała mały woreczek, w który włożyła trochę miękkiego płótna, plastrów, maści kojących i ziół leczniczych, przywiezionych ongi z klasztoru, gdzie uczono ją pielęgnować chorych. Jedna myśl bowiem prześladowała ją ciągle:

— A nuż on powróci do domu ranny lub chory? Będę go tedy pielęgnowała i, może, z pomocą Matki Boskiej uratuję mu życie i świętej wiary nauczę.

I, gdy o tem myślała, radość zalewała jej serce i ani na chwilę nie przyszło jej do głowy, iż może sama zostać zamordowana przez jego dzikich pacholków.

V

Następnego ranka, o świcie, wyruszyli w drogę. Kai niósł na plecach torbę z żywnością, Inga woreczek z lekarstwami.

Szli, trzymając się za ręce, jak za dziecinnych czasów. Gdy doszli brzegiem morza do miejsca, gdzie ciasny przesmyk wody dzieli Falster od Moen, odważnie przebrnęli przez wąską, chwiejną kładkę, którą lizały łagodne fale. A potem wędrowali dalej przez wysepkę, trzymając się zawsze brzegów morza. Droga na północ była bardzo daleka, i Inga szczerze się ucieszyła, ujrawszy w jakimś zatoce ukrytą łódź rybacką.

— Patrzaj, Kai, tą łódką popłyniemy na północ. Rycerz mi powiedział, że miejsce, gdzie znajduje się jego przystań, odznacza się tem, że leży tam sto kamieni, wielkich, jak chłopskie chaty. Do stawszy się na ląd, trzeba przejść przez skalny wąwóz, a dalej już łatwo znaleźć drogę, bo bluszcz

się pną po skałach, i rosną srebrnolistne topole. Popłyniemy tam, Kai. Ja wiem napewno, że Bóg jest teraz z nami.

I Kai bez słowa ujął za wiosła.

Minęło już dawno południe, gdy dostrzegli nareszcie sto wielkich kamieni i do jednego z nich przybili łodzią. A potem skakali z kamienia na kamień, i Kai ciągnął za sobą swą małą łódkę, i była ta droga po oślizgłych kamieniach, sterczących nad wodą, połączona z niebezpieczeństwem nie tylko złamania rąk i nóg, ale nawet utraty życia.

Nareszcie dobrnęli do brzegu, wyciągnęli łódkę i przewrócili ją, siedli na niej, a ponieważ byli wygłodzeni, rozpakował Kai swe zapasy, i poczęli jeść.

— Jak tu pięknie! — zawołała Inga — zobacz, Kai, te srebrnolistne topole, które z poza kredowych skał wyzierają, to są te same topole, o których on mówił... Chodźmy dalej.

Droga pod górę była dzika, prawie nie do przebycia. Gdy skończył się wąwóz, musieli na czworakach pełzać po urwiskach i drapać się wzwyż po prawie gładkich ścianach.

Wreszcie zakurzeni, z pokrwawionymi rękami, stanęli na górze. Przed nimi leżał gęsty las, przecięty wąską, ledwie dostrzegalną ścieżką. Nagle Inga szepnęła:

— Słyszysz? Mnie się zdaje, że wiosła uderzają o wodę. Co to być może? Cicho, cicho, słuchaj!

Kai nasłuchiwał chwilę, potem poszedł na sam brzeg skał i przechylił się, patrząc na morze. Wrócił blady:

— Tak, Ingo, widzę okręt z czerwonymi i białymi żaglami i łódź wielką. Już wiosłują, dobijają, do brzegu, to pewnie oni, rozbójnicy morza, musimy się ukryć, biegnijmy w las.

Pobiegli, lecz i ta droga nie była łatwa, grzęzły im nogi w wilgotnym gruncie jaru, i często gubili ścieżkę wśród zarośli. Wreszcie stanęli na skraju lasu i wtedy ujrzeni pod sobą w dolinie okazały rycerski zamek. Wielki był, cały z czerwonego kamienia z basztami, rzeźbionymi wieżycami i mostem zwodzonym, przerzuconym między wałami, nad rowem napełnionym wodą.

— Jak tu pięknie — zawołała w zachwycie Inga—bywaj zdrów, Kai. Musisz wracać do babki, ale za trzy dni przypłyn tu znowu i, o ile Matka Boska się mną zaopiekuje, zobaczymy się. A tymczasem żegnaj, drogi Kai, dziękuję ci za wszystko...

Kai stał w milczeniu. Potem pocałował ją w czoło:

— Niech cię Bóg prowadzi, Ingo!



£.

VI

Dziewczyna szybko zbiegła do doliny i, ozie-
rając się na wszystkie strony, ostrożnie weszła
na most.

Naprzeciw niej pędził wielki, czarny pies, gro-
źnie warcząc i szczerząc kły, ale, gdy ją poznał
przyskoczył radośnie i łasić się począł.

— Rolf, mój wierny Rolf — cieszyła się Inga —
o gdyby wszyscy zechcieli być tutaj tak dobrzy
dla mnie, jak ty!

Im bliżej było zamku, tem wolniej postępo-
wała Inga naprzód. Ale nikt nie wyszedł na jej
spotkanie.

Wreszcie znalazła się na podwórku i ledwo stłu-
miła okrzyk przerażenia. W samym środku
obszernego dziedzińca zobaczyła okropną figurę,
stojącą na ognisto-czerwonej desce, podtrzymy-
wanej przez cztery również czerwone kolumny.

Najjaskrawsze barwy były w oczy od tego potwora o jednej głowie z czterema twarzami, na cztery strony świata skierowanemi. Gdziekolwiek się Inga zwróciła, osiem ogromnych, zielonych, okrągłych oczu potwora patrzyło na nią. Białe zęby sterczały z otwartych, krwawych ust. Czarne włosy spadały z pod złotej korony i krótkie, grube ręce, wyciągnięte w różne strony, wyglądały, jakby łaknęły pochwycić ją i zdusić.

— Swantewit *) — szepnęła — a ten kamień pod nim... z siekierą i nożem... to kamień ofiarny...

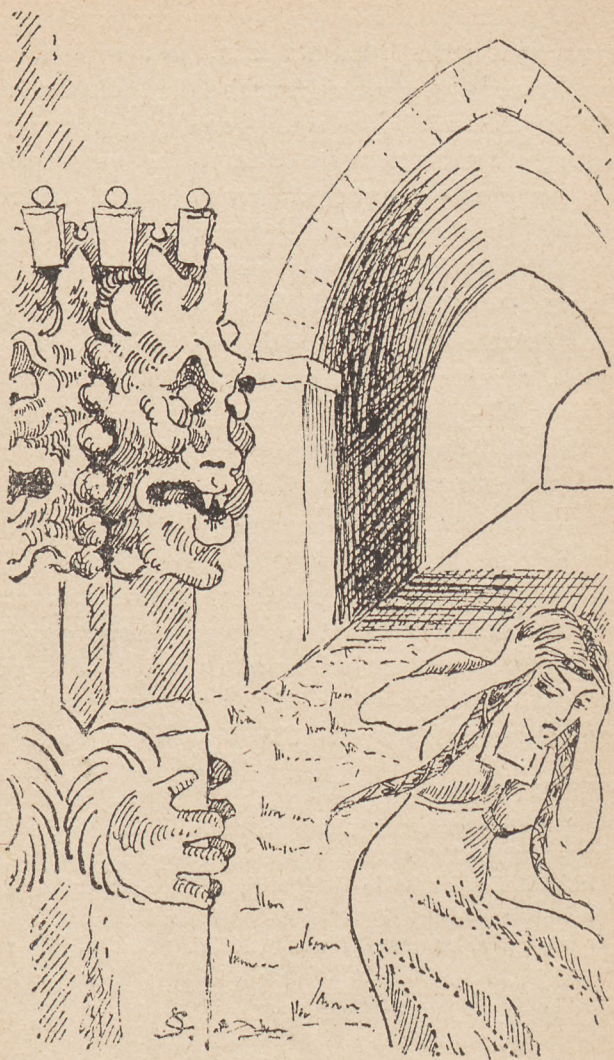
Gdy bliżej podeszła, dojrzała rdzawe plamy na kamieniu i ciemną, lepką ziemię obok.

Ugięły się pod nią nogi.

— To krew, ludzka krew! o Boże, dopomóż mi! bo boję się, iż stracę odwagę, dopomóż, Boże!

Zacisnęła usta i, odwróciwszy się od bałwana, poszła wzdłuż wału, otaczającego zamek, do kamiennych szerokich schodów. Odważnie wstąpiła na nie i znalazła się w olbrzymiej sieni, wyłożonej ciemnem drzewem. Ciężkie ławy z rzeźbio-

*) W pogańskiej Danji czczono bożka Wodana. Swantewit był głównym bogiem nadbałtyckich Słowian, zamieszkujących także Rugję i pobliskie wysepki, za wojowane przez Duńczyków. W roku 1168 udało się królowi Waldemarowi I nawrócić ich mieszkańców na wiarę chrześcijańską, a książąt tych uczynić lennikami Danji.



nego dębu zdobiły jedną ścianę, przy drugiej stały wielkie okute skrzynie i skarbnice.

Wtem Inga usłyszała kroki na górze. Zadrżała. Czuła, że musi się skryć. Szybko otworzyła jedną skrzynię. Po same brzegi wypełniona była drogocennymi przedmiotami.

— Zrabowane skarby... — szepnęła ze wstrętem.

Tymczasem kroki zaskrzypiały już na schodach. Inga zamiotała się w lęku po sieni i nagle dojrzała jakieś drzwiczki. Otworzyła je i ukryła się. Znalazła się w ciasnej komórce, do połowy zawalonej pościelą. Przez małe okienko, umieszczone na bocznej ścianie, wpadało światło. Dostrzegła przy drzwiach zasuwkę, zaryglowała ją szybko i wtedy dopiero odetchnęła.

Ale znowu zabiło jej serce trwogą, bo Rolf zaczął drapać we drzwi i skomleć. Teraz już usłyszała kroki zupełnie blisko, ktoś zeszedł z drewnianych, skrzypiących schodów, a pies skowyczał coraz głośniejsze, uderzając z całych sił łapami o drzwi.

— Matko Przenajświętsza, ratuj — szepnęła.

W tejże chwili ustało skrobanie psa, natomiast w sieni powstał zgiełk i gwałt, i donośne szczekanie Rolfa rozległo się na dziedzińcu. Doskoczyła do okienka i ujrzała psa, pędzącego z wywieszonym językiem w stronę mostu. A przez most szli

ku zamkowi bardzo wolno jacyś ludzie. Gdy się trochę zbliżyli rozpoznała Inga, że idą zawsze po dwóch i niosą coś między sobą, a szło ich tak bardzo wielu...

— Boże, jeżeli to on? Ranny, może zabity?

Zbliżyli się do schodów tak, iż mogła już różnić leżące na noszach postacie. Było ich kilkanaście, lecz nie dojrzała między nimi błękitnego rycerza. Odetchnęła z ulgą.

Słyszała, jak w sieni ciężko opuszczają nosze, i dobiegł jej uszu ostry, skrzeczący głos kobiety:

— Ragno! gdzie jest Ragna? przynieś pościel dla rannych, hej pacholki, gdzież ta baba przepadła? sprowadzić ją!

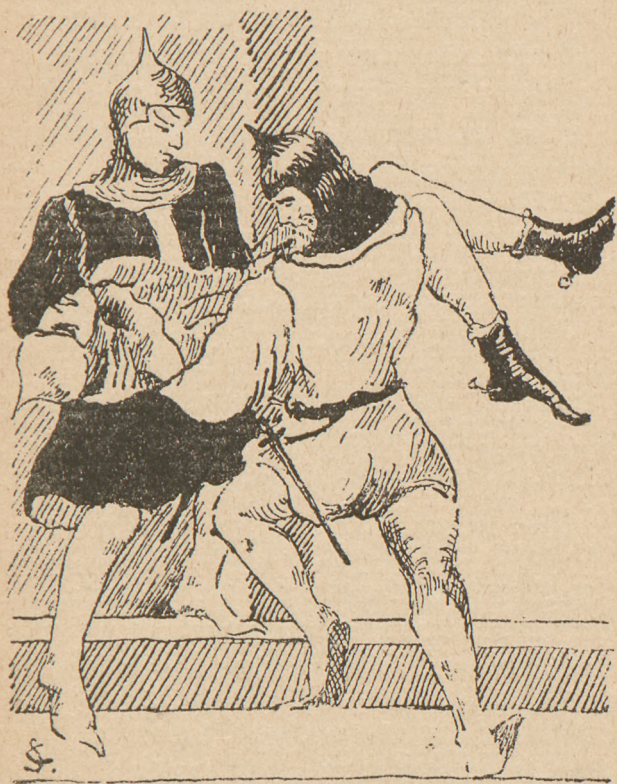
Pościel! Zadrżały pod Ingą nogi. Wszak w jej kryjówce leżała pościel. Nasłuchiwała z bijącym sercem. Obok coś przenoszono i przesuвано. Rozlegały się głuche jęki.

Ktoś poruszył drzwi komórki.

— Zamknięta! Klucz! gdzie jest klucz? odpowiadaj, ty chrześcijański psie — zapiszczał znowu ten sam przykry głos. — W tej chwili dawaj klucz, albo krew twoja popłynie dla Swantewita.

— Widocznie z wewnątrz się zatrzasnęły — rzekł męski, gruby głos — trzeba je wyłamać.

Inga w nieopisanem przerażeniu ze skrzyżowanymi rękami przylgnęła do ściany. Czyjeś ręce szarpnęły drzwiami. Wtem rozległ się przenikli-



wy, okropny krzyk kobiety, tupot nóg na dziedzińcu, i Inga mimo strasznego lęku dopadła do okna.

Przez podwórzec biegła kobieta w purpurowej szacie. Różnobarwny, wysoki kaptur zsunął się z jej głowy, i wiatr rozwiewał długie czarne włosy.

— Syn mój, syn! — krzyknęła przeraźliwie, rzucając się na jednego jeszcze rannego, którego niosło czterech ludzi w lśniących pancerzach.

— Żeby was siarka pochłonęła, nieszczęsna! Zabijecie waszego syna — ryknął jeden z niosących i kopnął zrozpaczoną matkę tak silnie, że upadła. Lecz po chwili podniosła się i powłokła za noszami.

Inga stała już przy drzwiach, chciała je otworzyć, lecz odwagi jej nie starczyło. Nasłuchiwała.

— Huno, mój synu! czy żyjesz, Huno? — załkał głos.

Odpowiedział zdławiony jęk.

Teraz Inga przestała się bać. Wiedziała, kim jest ranny. Cicho odsunęła zasuwkę i uchyliła drzwi. Zobaczyła kilku zbrojnych pacholków, nachylonych nad leżącym. Dostrzegła ciemne włosy i białe czoło, z którego płynęła krew.

Bez szmeru wyszła ze swojej kryjówki.

I, niespodziewanie dla siebie samej, wzniosła obie ręce w górę, i głośno zadzwieczał jej srebrny głos:

— Pan Jezus przysłał mnie, bym uzdrowiła waszego syna.

Wszyscy zdumieni odwrócili głowy w jej stronę.

Matka, która leżała na podłodze koło noszy syna, uniosła się i patrzała, jakby olśniona.

Niespodziewane zjawienie się tej bladej, pięknej kobiety, z płaszczem złotych włosów na białej, długiej sukni, świecącym krzyżem na piersi i wzniesionymi rękami, zdawało się im wszystkim cudem.

Wolno podniosła się purpurowo ubrana kobieta.

I teraz dopiero zobaczyła Inga, że krucze jej włosy były gęstą siwizną przyprószoną.

Widocznie onieśmielił jej dziką duszę widok natchnionej postaci Ingi, bo rzekła cicho:

— Uzdrowić mego syna? A czyż to leży w waszej mocy?

Inga nic nie odparła, bo już klęczała przy ranym. Leżał śmiertelnie blady, z zamkniętymi oczami. Całe jego ubranie było krwią przepojone. Pachołkowie otaczali ich kołem, bezradnie na siebie poglądając.

— Potrzebne jest łóżko — rzekła Inga twardym głosem, — ale na dole, na schody nie można go wnosić.

— Tu jest łóżko — pośpiesznie zawołała matka i otworzyła z klucza wielkie drzwi pod schodami.



Inga zobaczyła obszerną komnatę, na środku której stało łóżę z purpurowym baldachimem.

— Podnieście rycerza. Ostrożnie i wszyscy jednocześnie! — rozkazała Inga, podtrzymując głowę rannego.

VII

Wkrótce leżał już w łóżku, ciągle jednak nieprzytomny i zemdłony. Wtedy Inga odsunęła ciężkie jedwabne kotary, zakrywające łożo. Jasne światło padło na rannego.

Bez wahania ujęła Inga nożyce i odkroiła bufiasty, błękitny rękaw, zupełnie sztywny od krwi. Ukazała się olbrzymia rana na ramieniu. Zebrawszy całą przytomność umysłu, delikatnie, lekko, tak iż ranny prawie nie drgnął, obmyła wprawna ręką opuchnięte ramię i potem zręcznie opatrzyła i obandażowała ranę.

Stara Frigga, matka Huna, patrzyła z uwielbieniem na Ingę. Nagle przyklękła i pocałowała rąbek jej sukni. Dziewczyna nie zwróciła na to uwagi, zajęta wyłącznie ratowaniem Huna. Rana na ciele było jeszcze trzy i wszystkie ciężkie. Na końcu zajęła się Inga raną na czole, lecz przedtem

odcięła czarne zlepione krwią loki i podała je drżącej matce.

Po upływie niespełna godziny opatrunek był zupełnie ukończony. I widocznie kojące maście i świeże, chłodne płótno przyniosły ulgę choremu, gdyż z twarzy jego, równie białej, jak bandaże, znikł wyraz bólu.

Inga uklęknęła przy łóżku i modliła się żarliwie.

Potem otworzyła ogromne okno, i do dusznej, zawalonej sprzętami komnaty, wpłynęła fala świeżego, letniego powietrza. Następnie przysunęła do łóżka wielki o wysokich poręczach fotel i zmusiła Friggę, by na nim siadła.

— Nie odchodźcie stąd, a gdy syn wasz się zbudzi, dajcie mu jedną łyżkę tej oto wzmacniającej mikstury.

Wyjęła z woreczka flaszkę i łyżkę i doręczyła je matce, która teraz z łagodnością owieczki wszystko ze sobą robić pozwalała.

— Idę opatrzyć resztę rannych — rzekła, kierując się ku drzwiom.

Frigga zerwała się.

— Dzięki wam, dzięki, za to, co uczyniliście dla syna mego. Nie znam was, ale niechaj Swantewit ześle na was swe błogosławieństwo. Lecz tamtych rannych nie tykajcie. Prócz dwóch naszych są to wszystko jeńcy i jutro zostaną oddani na ofiarę Swantewitowi, aby odwrócić śmierć od syna mego.

Inga zadrżała.

— Co mówicie? Na miłość Boską nie czyńcie tego, to ludzie tacy sami, jak my i obowiązkiem naszym jest im pomóc. I pomoc im będzie dana. Ale pamiętajcie o tem, że jeżeli złożycie ich w ofierze Swantewitowi, to śmierć zażąda także i waszego syna.

Frigga załamała ręce i krzyknęła:

— Nie, jego nie, tylko nie jego, on jest mi wszystkim na świecie!

— Uciszcie się, matko, obudzicie syna, a jemu nadewszystko spokój potrzebny. Nie przez ofiarę krwi, ale przez Tego, który miłością walczył w życiu, przez Jezusa Chrystusa syn wasz zostanie uzdrowiony.

Frigga zadrżała. W osłupieniu patrzyła na odchodzącą Ingę i dopiero gdy drzwi za nią zapadły, rzuciła się, cicho szlochając, na fotel.

VIII

W sieni na podłodze leżeli ranni, niektórzy z nich dogorywali.

Wszystkich po kolei opatrzyła Inga, wszystkim ulgę przyniosła. Wtedy dopiero uczuła ogromne znużenie i głód. Nie pytając nikogo, poszła w głąb domu i, minawszy wiele komnat, znalazła się w kuchni. Tu zastała starą kobietę, stojącą przy kominie, która z wielką gotowością pomogła jej się umyć i oczyścić zbryzganą krwią suknię.

— Dajcie mi się posilić — rzekła Inga, siadając na ławie.

Stara zakrzętnęła się szybko i na czystym stole ustawiła jadło. Potem pochyliła się ku siedzącej i pocałowała srebrny krzyż na jej piersi.

— Nazywam się Ragna=Agnieszka i jestem chrześcijanką. Uczyl mnie wiary świętej stary eremita. Trzydzieści osiem lat już jestem tutaj. Porwali mnie z wyspy ojczystej, gdy byłam pra-

wie dzieckiem. Potem zostałam mamką Huna. Huno jest dobry, ale matka go pcha ku złemu, ona jest poganką z Rugji. Ojciec Huna przed ożenieniem się był chrześcijaninem i rycerzem, ale pod wpływem żony powrócił do pogaństwa. Już dwóch synów przyniesiono tej kobiecie martwych do domu z rozbójniczych wypraw. Ten jest ostatni.

Usiadła koło Ingi i szeptem mówiła dalej:

— Wiem, kim wy jesteście. Huno mi o was opowiadał. Mówił o tem, jak głos wasz oczarował jego serce i jak bardzo pragnie pojąć was za żonę. Jest on silny i popędliwy, ale zbyt słaby wobec tej zgrai bandytów, którzy go otaczają. On ulega im, bo matka jest po stronie korsarzy, a ona ma ogromny wpływ na niego. A jednak boją się go tu wszyscy, bo pomimo pokory synowskiej i przyrodzonej dobroci serca potrafi w gniewie zabić.

— Czy matka jego wie o mnie? — przerwała Inga gadatliwej kobiecie — czy opowiadał jej o swoim pobycie w Falster?

— Nie, piękna dziewczico, do matki Huno zaufania nie żywi, on zawsze jej z drogi schodzi, bo dzika jest i chytra, jak kot, ale swojej starej Rag nie ufa. Gdy jeszcze był małym chłopięciem, dużo mu opowiadałam o Świętej Wierze i pokazywałam piękne obrazki Matki Boskiej i Pana Jezusa.

— A powiedźcie mi, dobra staruszeko, czy przed

tą ostatnią wyprawą złożył rycerz także ofiary ludzkie Swantewitowi?

— Nie, dziewico Ingo, tym razem nie chciał własnoręcznie składać ofiar. Rzucił nóż o ziemię i pobiegł na most, zakrywszy ręką oczy. Pewnie myślał o was.

— Niech Bóg czuwa nad nim — rzekła Inga wzruszona.

Powróciła do sieni i cicho wsunęła się do komnaty, w której leżał Huno. Zdawało się, iż śpi spokojnie i głęboko.

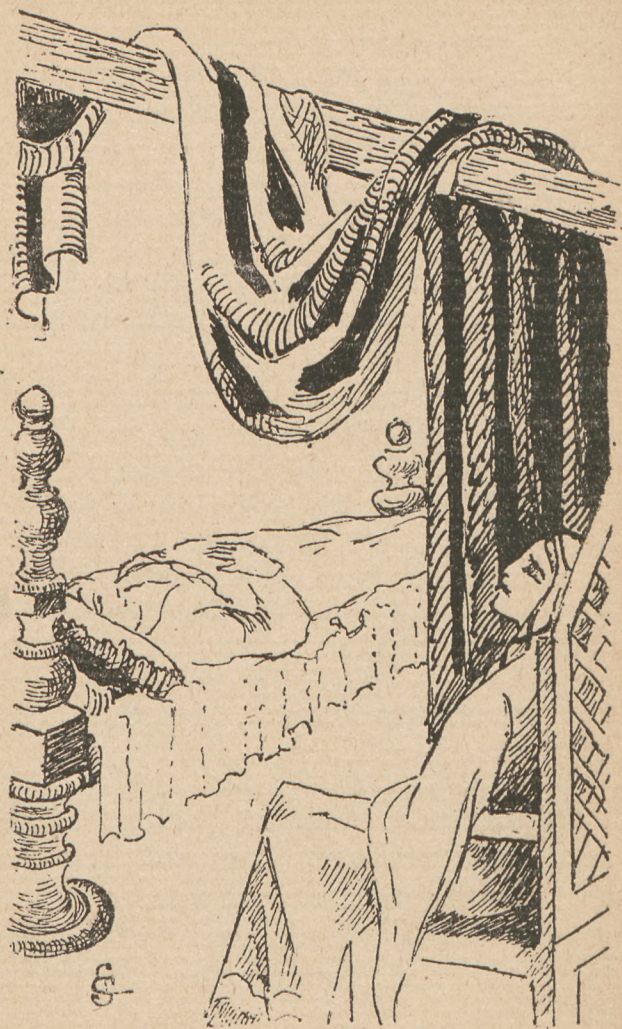
— Idźcie, matko, spocnijcie, tej nocy będę przy waszym synu czuwała.

I tak silnie wierzyła dzika Frigga w nadprzyrodzoną moc Ingi, że bez słowa wstała z fotela i odeszła.

Inga zajęła jej miejsce. Była bardzo zmęczona. Tyle drogi przeszła od świtu, tak ciężko pracowała całe poobiedzie. Patrzała z miłością na bladą twarz Huna. Ale ogarniało ją coraz większe znużenie. Wreszcie powieki jej opadły i zasnęła bardzo mocno.

Słońce dawno znikło za górami, cienie nocy otuliły świat i zza skał wypłynął lśniący, okrągły księżyc, który srebrnem światłem zalał cały pokój.

Ingę zbudziło dotknięcie czegoś zimnego i wilgotnego do ręki. Otworzyła oczy. Przed nią stał Rolf, który, uważając widocznie, iż dostatecznie



wypoczęła, lizał ją po palcach i tulił swój zimny nos do jej dłoni.

Odruchowo pogładziła czarny łeb psa i spojrziała na łóżko.

Krzyknęła lekko.

Huno — siedział wyprostowany. Kredowa bladość pokrywała mu twarz, i z pod bandaża patrzyły na nią, rozszerzone zdumieniem, nawpółbłędne źrenice.

Zachowując milczenie Inga wstała i, zbliżywszy się do rannego, złożyła go na poduszki. Miękką, ciepłą ręką ujęła jego lodowate palce, a druga lekko musnęła go po policzkach.

Westchnął i zamknął oczy.

Inga ostrożnie przysunęła fotel do wezglowia łóżka. Siedziała bez ruchu, bojąc się oddychać. Sądziła, iż ranny zasypia.

Lecz on wyciągnął rękę, schwycił dłoń Ingi i, ścisnąwszy kurczowo, trzymał tak mocno, jakby nigdy więcej nie chciał jej wypuścić.

— Ingo, czy to ty? ty, Ingo? — szepnął.

— Tak, to Inga, która przyszła, by czuwać nad wami rycerzu.

Olbrzymie, mroczne oczy zawisły na jej obliczu. Powoli zniknął z nich wyraz niedowierzania, ustępując miejsce ufności i miłości. Wielkie łzy stoczyły się po policzkach, i blady uśmiech prześwitał się przez pokrytą bandażami twarz Huna. Przymknął powieki.

Wkrótce zasnął. Ale nie puścił ręki Ingi i ona nie śmiała jej usunąć, aby go nie zbudzić.

Tak minęła noc.

Do uszu czuwającej Ingi dobiegały od czasu do czasu dzikie okrzyki ucztującej hordy rozbójników, ale, szczęściem, Huno spał mocno.

Tak, bez zmiany, przeszły dwa dni i dwie noce. Huno był nieprzytomny i spał prawie nieprzerwanie.

IX

Trzeciej nocy stanęła zrozpaczona matka u łóżka syna. Huno miotał się w gorączce, bredził głośno i twarz mu gorzała purpurą. Frigga całowała jego rozpalone ręce i szlochała głośno. Stojąca obok Inga modliła się cicho. Nagle zobaczyła, że na zgnębionej twarzy Friggi zjawił się dziki, okrutny wyraz. Na chwilę zacięły się usta. Nagle podniosła w górę rękę i zawołała.

— Swantewicie! Swantewicie! Codziennie otrzymasz dwudziestu jeńców w ofierze. Uratuj mi syna! Przysięgam ci dawać codziennie za niego dwudziestu innych! Wysłuchaj mnie, Swantewicie!

— Jezus zabrania ofiary krwi — rzekła drżąc Inga.

— Któż jest ten Jezus, o którym mówisz? Nie znam go, nie ma on tej potęgi, co Swantewit. Swantewit jest wszechmogący, ale on łaknie krwi i musi ją otrzymać.

Zamilkła na chwilę, potem zaszeptała chrapliwie:

— Czy nie widzisz, że zjada go gorączka? Nie widzisz, że Huno umiera? Tylko Swantewit go uratować może. Tylko krew, bo krwi woła rozgniewany bóg. I będzie krew. Idę przygotować wszystko do obrzędu ofiarnego.

Wyszła z komnaty.

Inga załamała ręce. Wiedziała, co czeka teraz nieszczęsnych jeńców. Wiedziała, że dostaną się pod koło, które zmiażdży im mlecz pacierzowy i połamie ręce i nogi, a potem złożą ich na kamieniu ofiarnym, zagłębią noże w piersi i pozostawią tak, aż ostatnia kropla krwi z nich ujdzie. Wiedziała Inga, że ci męczennicy mogą długie godziny w strasznych cierpieniach konać.

Była jednak bezsilna. Nikt jej tu nie usłucha. Na to władniejszej potęgi trzeba.

Tej nocy nie zmrużyła oka. I gdy wczesny, letni poranek nastąpił, Inga otworzyła okno.

Przed nią, za murem zamku, leżało ciche jezioro, otoczone lasem, a za nim sterczała ściana skał, wiodących do morza. Ptaki świergotały.

— Taki cudny Twój świat, o Boże! — westchnęła dziewczyna i wzniosła oczy do nieba.

Szare było i groźne, czarne chmury po niem pływały.

— Będzie burza — szepnęła.

W tej chwili pomyślała Inga o ojcu, który zwykle, gdy burza nadchodziła, pieścił ją i uspakajał, bo bała się jej zawsze jak malutkie dziecko.

Ale teraz nie czuła trwogi, serce ściszał jej niepokój o Huna i żal nad tymi, co niezadługo taką straszną umrą śmiercią.

Wtem chory się zbudził. Starał się usiąść, rzucał rękami, zrywał bandaż. Inga ułożyła go z trudem i zwilżyła mu skronie. Majaczył głośno, rozmawiał z Rolfem, rzucał jakieś nieznane jej imiona, wydawał bojowe rozkazy, a potem zaczął wzywać Swantewita.

Inga ciągle zmieniała zimne okłady. I pod ich działaniem zaczął chory się uspakajać. Poblądł bardzo i zapadł w krótki sen. Ale gdy, po pewnym czasie, otworzył oczy, spojrzenie ich było zupełnie przytomne, a twarz przezroczyście biała:

— Ingo, jesteś przy mnie? Słuchaj, Ingo, ja wyzdrowiałem i nawet jestem głodny. Nie, głodny nie jestem, tylko tak mi słabo, przynieś mi coś Ingo... wina... nie, nie odchodź, Ragna może to zrobić, zostań Ingo, Ingo... — szeptał coraz ciszej i głos jego jakby przygasał.

Wtedy Inga zdjęła krzyż z piersi zacisnęła wkoło niego ręce Huna.

— Rycerzu, powtórzcie za mną: „Chryste Panie, dopomóż mi w tej ciężkiej godzinie“.

Twarc chorego wyrażała powątpiewanie, ale spojrzawszy na Inge, rzekł powoli:

— „Chryste Panie, dopomóż mi w tej ciężkiej godzinie“.

Po chwili dodał z wahaniem:

— Jeżeli to w mocy Twojej...

— Rycerzu Huno! Przysięgam, iż wobec Boga i ludzi żoną waszą zostanę, jeżeli się wyrzeciecie Swantewita i w Pana Jezusa miłosiernego wierzyć będziecie.

— Ingo, wszystko, co mówisz, dobre jest i mądre, kocham cię, Ingo. Oddawna już zwątpilem w Swantewita, bo on zawsze żąda krwi, jak najwięcej krwi...

Wzdrygnął się ze wstrętem. Po krótkim milczeniu ozwał się silniejszym głosem:

— Przysięgam, Ingo, wyrzec się Swantewita i wierzyć w Pana Jezusa.

Inga pocałowała go w czoło, potem podała mu puhar z orzeźwiającym napojem, i poprawiając poduszki, rzekła:

— Teraz śpij, Huno, śpij spokojnie, a gdy się zbudzisz, będziesz zdrów zupełnie, jeśli taką jest wola Najwyższego. Śpij...

Z pod opuszczonych rzęs, patrzył Huno jeszcze długo na modlącą się Inge, potem wyciągnął do niej rękę i, uśmiechnąwszy się łagodnie, zasnął po krzepiającym snem.

Inga siedziała bez ruchu, wiedziała, że ten sen jest jego ratunkiem.

Nagle zagrzmiało. Huno zbudził się, ale widząc
Ingę przy sobie, zapadł natychmiast znowu w stan
snu.

X

A tymczasem burza się rozszalała. Do nieustannych grzmotów przyłączyło się wycie Rolfa i rozpaczliwe jęki rannych, których sprowadzono do sieni.

Inga nie mogła usiedzieć na miejscu. Nurtowała ją myśl, co robią z tymi nieszczęsnymi, że aż tak głośno jęczą. Walczyła ze sobą, ale Huno, wtulony głęboko w poduszki, spał tak spokojnie, że wreszcie wstała i na palcach wysunęła się za drzwi.

Straszny widok przedstawił się jej oczom: rannych w kajdanach, skutych ze sobą łańcuchami, wleczono ze schodów i przez sień na podwórze.

— Stójcie! — zawołała Inga, wznosząc krzyż do góry. — Nie ruszajcie ich! Jeżeli miłujecie waszego pana i życie jego dla was drogie, ulitujcie się nad tymi waszymi braćmi. Inaczej dosięgnie was ręka Boża i srodze ukarze.

— Swantewit żąda krwi — rzekł ponuro jeden z pachołków.

— Swantewit jest bezsilny wobec Jezusa Chrystusa, który zabrania mordować.

— Swantewit jest silniejszy — zawołała z palającą twarzą matka Huna, przedzierając się przez tłum skazańców.

I w tej chwili całą sień zalało światło błyskawicy i jednocześnie uderzył piorun z taką siłą, że zatrzęsły się stare mury zamczyska.

Wszyscy się zachwiali. Pobladły okrutne twarze rozbójników. Inga padła na kolana i ukryła twarz w rękach. Nagle rozległ się wielki okrzyk zgrozy i wszyscy rzucili się do drzwi.

Olbrzymi stos ognia płonął na środku podwórza, a wokoło gorejących czerwonych kolumn leżały roztrzaskane w drobne kawałki skorupy tego, który jeszcze przed chwilą był bożkiem Swantewitem.

— Oto mego Boga wszechpotężna moc — rzekła uroczyście Inga.

Trwoga malowała się na wszystkich twarzach. Nie były one już ani okrutne, ani dzikie, tylko okropnie zgęębione i przerażone.

I nie dziw — czczone ich bóstwo zmieniło się w garść marnych skorup. A tu, przed niemi, stała młoda dziewczyna w białej sukni ze srebrnym krzyżem w ręku. Stała spokojna, silna, zwycięska.

Skupili się korsarze w bezradną gromadkę.

Wtedy Inga wzniosła krzyż do góry i, w wielkiej ciszy, donośnie zabrzmiał jej głos:

— Uwierzcie bracia w Wszechmogącego Boga, w Tego, który w waszych oczach obrócił w nicość glinianego bałwana. Uwierzcie w Chrystusa Miłosiernego, który od was nigdy ofiary krwi nie żąda. Ufajcie Mu, a On miłość posieje w sercach waszych!

I, obchodząc wszystkich kolejno, dotykała każdego krzyżem, a oni bezwolnie obsuwali się na kolana, zwyciężeni przez Najsilniejszego.

Stara Frigga, która na widok płonącego ołtarza padła na ziemię i rozpacznie krzyczała, podniosła się pod dotknięciem krzyża. Zwątpienie mazało się w jej czerwonych od płaczu oczach.

— Chodźcie za mną, matko, do syna waszego i zobaczcie, jak dobrym jest mój łan.

Pod rękę zaprowadziła ślaniającą się kobietę do łóża syna. We drzwiach stłoczyli się uzbrojeni pachołkowie.

Huno leżał z otwartymi oczami. Wyciągnął do Friggi rękę.

— Matko, uwierzyłem w Jezusa Chrystusa. Nie mogę już wierzyć w Swantewita, widzi mi się, że on nic nie znaczy i żadnej mocy nie posiada.

— Swantewit leży zdruzgotany na podwórku, unicestwiony błyskawicą z ręki Boga — rzekła uroczyście Inga.

Niedowierzenie i zdziwienie odmalowało się na twarzy Huna. Ale zaraz znikło.

— Tak? Wierzę, że to się stać mogło. Ach, jak dobrze! Już nie będzie mnie więcej trapił widok jego... Matko! Inga wie wszystko lepiej, niż my. Uśłuchaj jej także, a zobaczysz, że nam się od dzisiaj dobrze dzieć pocznie.

— Tak, tak, — uspakajała go łagodnie Inga — wszystko będzie dobrze, lecz teraz nie rozmawiajcie więcej, bo wam to zaszkodzić może.

Ale Huno skinął jeszcze na swych ludzi, podchodzili kolejno do łoża i ściskali go bez słowa za rękę, a twarze mieli radosne.

Po trzech godzinach minęła burza.

Wtedy zobaczono, że ze Swantewita i jego ołtarza zostało tylko żelazne rusztowanie, na którym opierał się posąg. I rusztowanie to miało kształt wielkiego, o rozpostartych ramionach, krzyża.

Wysoko sterczał ten krzyż ponad grudą zgliszczy. A słońce lśniło w kroplach deszczu, które na rdzawym żelazie osiadły, i to sprawiało, iż krzyż wyglądał, jakby usiany brylantami. Oniemieli spoglądali na to zjawisko pacholkiowie i Frigga.

Krzyż ten był taki sam, jak ten, przed którym kazała im klęknąć Inga. Wyrósł na miejsce zniwieczonego Swantewita i Jezus, Ten silniejszy, go tu postawił...



Teraz musieli już uwierzyć, bo mieli oczywiście dowody Jego potęgi.

W tej chwili zjawił się ktoś na zwodzonym moście. Rolf, poszczekując radośnie, pobiegł naprzeciw.

— Gdzie dziewczica Inga? — zawołał Kai.

Na widok tylu ludzi zgromadzonych koło tlejącego jeszcze ogniska głos mu zadrgał trwogą.

Z tłumu wysunęła się Frigga.

— Dziewica Inga pielęgnuje (nego) rannego syna i na jego życzenie i prośbę pozostanie przy nim — rzekła.

— Ach tak? Czy zezwolicie mi na widzenie się z nią?

— Oczywiście, zacny młodzieńcze, zaprowadzę was do niej — odparła uprzejmie.

I, gdy z godnością matrony prowadziła Kai do komnaty syna, niktby w niej nie poznał dzikiej Friggi, matki groźnego morskiego rozbójnika. Ciężka troska ostatnich dni i radość z wyzdrowienia syna zmieniły ją w cichą, pokornego ducha, niewiastę.

Inga ucieszyła się bardzo, ujrawszy Kai, i Huno uśmiechnął się doń przyjaźnie. Po krótkiej rozmowie, pożegnała go Inga:

— Powiedz ojcu i babce, iż dopóki narzeczony mój nie będzie się cieszył dobrem zdrowiem, i moja opieka się dlań zbędną nie okaże, dopóty do

domu nie wrócę, a i wtedy tylko po to, by do go-
dów weselnych wszystko sposobić.

— Moja Inga... — szepnął Huno i mocno za rę-
kę ją ścisnął.

Przez chwilę przyglądał się tej małej białej rę-
ce, która wydawała się taką wątłą, a jednak je-
dnym swym ruchem potrafiła nim zawładnąć, uko-
rzyć jego matkę i opanować całą zgraję jego nie-
sfornych pacholków.

A właścicielka tej małej ręki nie czuła żadnej
trwogi przed nieznaną przyszłością i mocno wie-
rzyła w to, iż potrafi tymi zwyciężonymi przez
siebie ludźmi kierować przez całe życie.

— — — — —
W parę tygodni potem uszczęśliwiony lennik tu-
lił w swych objęciach powracającą do domu córkę,
a w miesiąc później wyprawił jej ślubne gody.

Tego dnia rano wezwała Inga Kai, i siadłszy
z nim na ulubionej ławeczce, gorącemi słowami dzie-
kowała mu za wszystko, co dla niej uczynił.

— Szczęśliwa jestem, Kai, ale nie chcę się z to-
bą rozstać i życzeniem mojem jest, byś za mną na
zamek Huna pociągnął i zarządcą naszych włości
został.

Kai przystał odrazu, jego skromnemu oddane-
mu sercu wystarczało, iż blisko swej Ingi, swej
najukochańszej siostry, znajdować się może.



Wesele było huczne, bo ze wszystkich, nawet odległych stron, zjechali się goście, by poznać nowego, przez króla na rycerza pasowanego chrześcijanina, a wielu z nich przybyło tylko dlatego, aby ujrzeć Ingę — której imię zasłynęło w całej Danji.

Dziewczyna szlachetnego rodu, nawracająca pogan, była rzadkiem zjawiskiem, a za najbardziej godne podziwienia uważano to, iż nie ogniem i mieczem, jak to podówczas czyniono, zwyciężyła, lecz tylko bezbronnem, miłości pełnem sercem.

A ruiny zamku Huna na wyspie Moen do dzisiejszego dnia sterczą jeszcze nad cichem, topolami poroślem, jeziorem i opowiadają o bezmiernym przepychu i świetności dawnych rycerskich czasów.

K O N I E C.

MKO 1373

